

Halina Dudzińska

Wspomnienia legionistów : Jan Stanisław Korzeniowski

Rocznik Kolbuszowski 3, 88-91

1994

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

II wspomnienia legionistów

Jan Stanisław Korzeniowski

Będąc w Warszawie na dwunastym *Zjeździe Legionistów*, usłyszałem zachętę do spisania krótko, ale prawdziwie, moich wspomnień z pobytu w Legionach i w późniejszej niewoli rosyjskiej. Jako zdyscyplinowany żołnierz spełniam żądanie.

Będąc dwunastoletnim chłopcem byłem raz ze śp. Ojcem u Dziadka, mieszkającego na leśniczówce w Zembrzy, w powiecie kolbuszowskim, niedaleko od wsi Dzikowiec, gdzie osiedlił się mój Ojciec. Dziadek, przeszło osiemdziesięcioletni staruszek, wypytywał mnie czy chodzę do szkoły, czy uczę się historii i wiem coś o powstaniach polskich, o walce Polaków o niepodległość. Co wiedziałem, to mu powiedziałem. On ciągnął dalej, że pochodzi z Polski Kongresowej od Warszawy, że rodzice jego mieli tam dworek i majątek o nazwie Izdebki, że on poszedł do Powstania walczyć o wolną Polskę. Po rozbiciu Powstania schronił się do Galicji. Tu dostał pracę leśniczego w Zembrzy, u hrabiego Reya. Dziadek poszedł do Powstania już jako człowiek żonaty. Jego żona, a moja babcia przyszła za nim, na piechotę i o proszonym chlebie, najpierw do Krakowa, a potem odnalazła go w Zembrzy. Mój Ojciec i Stryj tutaj się urodzili.

"Teraz kochany wnuczku, zaklinam cię i proszę, żebyś jeżeli kiedyś będzie sposobność, polskie powstanie i ty przyszedł bić się z z Moskałami, o zjednoczenie ziem i wolność Polski". Przyrzekam to dziadkowi, chociaż byłem jeszcze mały.

Później mijały lata, dziadek zmarł, a ja rosłem i wciąż miałem w pamięci jego słowa. Mieszkałem w Dzikowcu i pracowałem jak i mój Ojciec, który nauczył się krawiectwa, w dzikowieckim dworze państwa Błotnickich. W 1910 r, mając już prawie dwadzieścia dwa lata, zapisałem się, w Kolbuszowej, do "Drużyny Sokolej". Brałem udział w różnych ćwiczeniach.

W sierpniu 1914 r., gdy usłyszałem, że w Krakowie tworzone są Legiony Polskie do walki o niepodległość Polski, zaraz poszedłem do Starostwa, w Kolbuszowej z prośbą o przyjęcie mnie do tych Legionów. Pan Komisarz Karolewicz serdecznie mnie przyjął, pochwalił i polecił zwerbować w Dzikowcu, więcej młodych mężczyzn, nie podlegających poborowi wojskowemu. Znalazłem dziewięciu takich chłopaków i przyprowadziłem do Pana Karolewicza.

Niebawem rozpoczęliśmy agitację w całym powiecie. Po pięciu dniach agitacji mieliśmy już sześćdziesięciu czterech ochotników. Dzięki pomocy zacnych kolbuszowian, takich jak pan Władysław Skowroński, ówczesny burmistrz miasta, pan Marcin Osiniak, obecny burmistrz, dostaliśmy kwatery i porządny wikt. Pan Lassota ćwiczył nas bezustannie, przez dwanaście dni, w mustrze wojskowej. Potem zawieziono nas, furmankami do Sędziszowa, a następnie pociągiem do Krakowa. Był to już wrzesień 1914 r.

W Krakowie przydzielono nas do 14 kompanii kapitana Żelaznego, należą-

cego do 4 batalionu majora Bolesława Roji i do 2 pułku Legionów Polskich. Pułkiem dowodził płk Zieliński. Władze austriackie żądały, żebyśmy złożyli przysięgę na wierność Austrii. Dopiero po tym fakcie miano nam wydać mundury, broń, amunicję. Myśleliśmy o Polsce, ale musieliśmy przysięgać Austrii. Po przysiędze dostaliśmy greckie mundury, austriackie karabiny i częściowy ekwipunek. W październiku załadowano nas do pociągu. Cieszyliśmy się, że pojedziemy do Królestwa Polskiego, że tam będziemy się bić z Moskalami. Ale po przejechaniu kilku stacji zorientowaliśmy się, że jedziemy na południowy - wschód, w Karpaty. Znowu trzeba było pogodzić się z losem i czekać na to, co będzie.

Przyjechaliśmy do miejscowości Taraczkez, w Karpaty Wschodnie, na południowy zachód od naszego Stanisławowa i tam, najpierw *przez* kilka dni budowaliśmy na odcinku pięciu kilometrów, drogę z drzewa od jakiejś leśniczówki w stronę Rafajłowej. Tam, a potem pod Nadworną, braliśmy udział w walkach. Wiele naszych zginęło, albo odniosło rany, wielu poodmrażało sobie ręce i nogi, wielu dostało się do moskiewskiej niewoli.

Ja zostałem lekko ranny pod Sołotwiną. Wzięto mnie na trzy tygodnie do szpitala w Taraczkez, po czym powróciłem do swojej kompanii. Brałem udział we wszystkich późniejszych bitwach, w Zielonej, Pasiecznej, Nadwornej, w Mołotkowie, pod Bohorodczanami i w wielu innych mniejszych potyczkach.

Po zdobyciu przez nas Kołomyi, na początku kwietnia 1915 roku, dostaliśmy dziesięć dni odpoczynku. Mjr B. Roją otrzymał pozwolenie na formowanie 4 pułku Legionów. Wtedy płk Zieliński wybrał trochę żołnierzy z dotychczasowego 4 batalionu mjra Roji, uzupełniając nimi trzy pierwsze bataliony pułku i udał się na Bukowinę. Mjr Roją z resztką swoich pojechał po połowie kwietnia do Rozpry koło Piotrkowa Trybunalskiego na Kielecczyźnie, gdzie z nas jako instruktorów i nowozaciągniętych chłopców utworzył 4 Pułk Legionów. Byłem w tym pułku. 10 lipca 1915 r., został on przewieziony na Lubelszczyznę na front. Znaleźliśmy się koło Włodawy. Braliśmy udział w walkach i maszerowaliśmy za cofającymi się Moskalami.

Pod Kozłówką Moskale stawili nam silny opór. Byliśmy pod Jastkowem, Konstantynowem, cofaliśmy się na Maciejów i Kowel, potem po ofensywie znowu szliśmy naprzód.

W Hulewiczach nad rzeką Stochód zostałem ranny w nogę i dostałem się razem z gromadą kolegów z 6 kompanii do niewoli moskiewskiej.

Napadła na nas niespodziewanie, piechota rosyjska, Sotnia kozaków dońskich i bateria artylerii. Nas była jedna, szósta kompania z porucznikiem na czele. Mieliśmy dwa karabiny maszynowe. Było to za mało, żeby się obronić. Karabiny maszynowe, po kilku strzałach, zacięły się. Nie mieliśmy drogi odwrotu, gdyż za nami był Stochód. Kto wskoczył do wody, tonął w bagnie. Moskale podeszli, otoczyli nas, porucznika i czterdziestu dwóch żołnierzy, pozbiali rannych. Zrobili nam zaraz rewizję, niby dla zebrania nam broni i amunicji, ale zabrali nam wszystko, cośmy mieli. Zdejmowali nam nawet dobre buty z nóg, jeżeli ktoś je miał. Potem popędzili nas do swojej Głównej Kwatery w miejscowości Kołki na Wołyniu. Po drodze, nad Styrem, kopaliśmy przez dwa dni okopy bez jedzenia i picia.

Na trzeci dzień w Kołkach każdego z nas przesłuchano i spisano z przesłuchania protokół. Potem dano nam po garści sucharów i trochę wody - o smaku kapusty. Porcje wcale nie zaspokoily naszego głodu. Widzieliśmy, że nasi konwojenci, Moskale jedzą oprócz zupy kaszę hreczaną. Jeden nasz "legun", niejaki

Mostowicz z Piotrkowa, nie wytrzymał, podszedł do Moskali i zaczął rozmawiać z nim po rosyjsku. Oni dali mu parę łyżek kaszy i zapytali się, skąd zna ich język. Powiedział, że jest z Polski, z piotrkowskiej guberni. Konwojenci dali znać do Komendy. Wnet przyszedł z niej kapitan, kazał sotni Kozaków otoczyć nas i znowu zaprowadzić na Komendę. Znowu zrobiono nam przesłuchanie, dokładnie wypytując skąd pochodzimy. Na nas Galicjan, nic nie mówiono. Tym, co byli z Królestwa Polskiego powiedziano, że są - "buntowszczyki" i zostaną w Słucku, powieszani.

Na nocleg umieszczono nas w żydowskiej bożnicy, a o świcie kazano wyruszać w dalszą drogę do Rosji. Pędzili nas, cały dzień, bez jedzenia, ale nam już nie chciało się jeść. Pytaliśmy się tylko, jak daleko do Słucka, gdzie "buntowszczyki" mieli zostać powieszani.

Z Kołków nad Styrem do Słucka nad Słuczną droga była jeszcze daleka, szliśmy tam przez całe osiem dni, zatrzymując się na noc, w różnych miejscowościach i nocując po różnych bożnicach. Na każdym postoju, czyli etapie, sprawdzano naszą obecność i dawano trochę zupy - wody, oraz garść sucharów. Nasze kozunie straszili nas, że w Słucku "pogibniemy". Każdy z nas po cichu, w duchu żegnał się z rodziną i z kolegami.

I przyszliśmy do Słucka, pod Komendę 3 Armii rosyjskiej. Kozak, komendant naszego transportu, zdał raport z ilości przyprowadzonych "plennych" i oddał kapitanowi wszystkie protokoły, które sporządził podczas drogi. Było mnóstwo papierów. Kapitan wziął je i poszedł do kancelarii. My czekaliśmy. Ale kapitan wkrótce wrócił i dał komendę "wsie konwojery si czas odstupać pieszki od wojenno - plennych". My myśleliśmy, że każe nas rozstrzelać. On tymczasem zbliżył się do nas i zapytał, jakiej jesteśmy narodowości. Wykrzyknęliśmy, że jesteśmy Polakami z Galicji. Wtedy kapitan powiedział po polsku, że także jest Polakiem i może nic złego wam się tutaj nie stanie. Że spali nasze zeznania a nas da do pasienia czy karmienia bydła, przyprowadzonego z Polski, którego sztuki idą na pożywienie frontowych żołnierzy. Że zejdzie nam z tym bydlęciem do wiosny. A potem on pomyśli o nas, żebyśmy nie mieli zbyt wielkiej biedy. Słyszając to, odżyliśmy i pomyśleliśmy, że jednak swój człowiek, to czasem swój, chociażby był w obcym mundurze i obcym służył.

W marcu 1916 roku nie mieliśmy już bydła ani owiec i zostaliśmy zaprowadzeni do Komendy Armii w Słucku. Wyszedł do nas ten sam kapitan - Polak i ucieszył się, że jesteśmy i nawet nieźle wyglądamy. Dał nas do pracy w polowym, wojskowym magazynie. Było nas tam około dwustu mężczyzn i wyładowaliśmy towary dla wojska, przywożone przez wagony konnej kolejki. O wyżywienie mogliśmy się postarać. Niektórzy odważni pociągali coś z magazynów i sprzedawali miejscowym Żydom. Dorabiali się nawet za tym sporych pieniędzy. Gorzej było z ubraniem i z higieną życia.

Mnie w maju wymienionego roku rozboleły nogi i dostałem na nich wyrzuty. Byłem parę dni w szpitalu wojskowym w Słucku potem w Homlu. W tym czasie moi koledzy z grupy zostali gdzieś odtransportowani. Prawie trzytygodniowy pobyt w szpitalu pomógł mi, ale potem odesłano mnie na punkt zborny jeńców w mieście Orzeł, na południe od Moskwy. Tam były bardzo ciężkie warunki życia, warunki w których z głodu i braku higieny, rodziły się choroby zakaźne. Posiłek dawany raz na dzień, stanowiły wnętrzności bydlęce niby w zupie kapuścianej, wnętrzności razem z nieczystościami. Otrzymywany kawałek chleba zrobiony był ze zboża, prawie niezmielonego. Pół litra ciepłej wody na herbatę trzeba było sobie kupić za kopiejkę. Kto nie miał kopiejki, wody nie dostał.

Powstały epidemie tyfusu brzusznego i plamistego. Raz na tydzień przychodził felczer i odsyłał chorych mających wysoką gorączkę, do szpitala.

Zachorowałem na tyfus. Odesłano mnie do szpitala dopiero w piątym dniu choroby. Przebywałem w nim przez cztery miesiące, od połowy czerwca do połowy października 1916 roku. Wyleczony, bardzo jeszcze wycieńczony, zostałem odesłany na punkt zborny jeńców. Na szczęście wnet wybierali rzemieślników do pracy w Moskwie. Podałem się za elektromontera, chociaż nie miałem o tym pojęcia. Namówił mnie do tego kolega, mówiąc, żebyśmy się wyrwali z piekła punktu zbornego.

W końcu października przywieziono nas do Moskwy i skierowano do pracy przy wodociągu, noszącym nazwę - Rublowo. Pracowali tam Austriacy, Turcy i ludzie innych narodowości. Było nam tam nieźle. Uczyłem się pracy od innych, a o utrzymanie można było trochę zadbać. Dostawaliśmy po osiem rubli miesięcznej zapłaty. Tak było do marca 1917 roku. Do rewolucji w której zostały obalone rządy cara Mikołaja II. Po tej rewolucji, nazwanej lutową, zapanowała w Rosji większa swoboda.

Ale potem przyszła rewolucja bolszewicka i bardzo ciężkie czasy. Jednak wszystko przetrwałem. Byłem w Moskwie do listopada 1918 roku. Gdy dowiedziałem się o rozpadzie Austrii i zakończeniu wojny, o powstaniu niepodległej Polski, dostałem się jakoś do pociągu, jadącego na zachód i po różnych perypetiach powróciłem do domu. Powróciłem, żeby wnet zaciągnąć się w szeregi odrodzonego Wojsk Polskiego i bronić Polski przed bolszewikami.

P.S. Tekst powyższego wspomnienia wojennego, wspomnienia z Legionów napisany, w 1933 roku, przez Jana Stanisława Korzeniowskiego przechowuje obecnie jego syn Tadeusz Korzeniowski, zamieszkały w Dzikowcu. Legionista Jan Stanisław Korzeniowski zmarł w 1944 roku.